

Po wielu latach znów odwiedzam Paryż

Śladami młodości i... Karaimów

W stolicy Francji byłem jak dotąd trzykrotnie: jako student pierwszego, drugiego i trzeciego roku bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Za każdym razem na zaproszenie Karaimki, Zuzanny Vareille z domu Aiwaz (tak, tak, młodzieży, kiedyś trzeba było mieć pisemne zaproszenie potwierdzone przez konsulat, żeby otrzymać wizę do Francji). Raz pojechałam tam sam, raz z bratem i raz z Małgosią, moją obecną żoną. Słynne muzea i inne popularne miejsca były więc „zaliczone” przed laty, tak że tym razem mieliśmy w Paryżu po prostu być.

Zuzanna opowiadała historię swoich rodziców i innych Karaimów, poznała mnie z panią Pampułow. Niewiele z tych historii pamiętam, ale

jeden szczegół utkwił mi w pamięci. Według słów Zuzanny, gdy Karaimi i inni rosyjscy emigranci zbierali się na Nowy Rok, pierwszy toast wznosili za „Sledujuszczij god w Peterburgie”. Mało kto wtedy przypuszczał, że kiedyś stanie się to możliwe.

W tym roku do Paryża pojechaliśmy z żoną na dwa tygodnie. Dzięki uprzejmości tamtejszego bibliotekarza, pana Roberta, zatrzymaliśmy się w stacji Polskiej Akademii Nauk przy ulicy Lauriston 74. Z dzieciństwa pamiętam, że kiedyś mieszkał tu mój tata w czasie swojej pracy nad doktoratem, bodajże w roku 1963. Z tym faktem też wiążą się dwa wspomnienia: pierwsze, to że tata przysłał nam widokówkę z panoramą Paryża i w miejscu, gdzie mieści się stacja PAN, zrobił małą dziurkę szpilką, dodając podpis: „tutaj mieszkam”. Z dumą pokazywałem to bratu, a ten powtarzał: „tata mieszka w tej dziurce”. Drugie wspomnienie – to już po taty powrocie. Spotkaliśmy się w gronie Karaimów na opowieści o Paryżu. Milusia Jutkiewiczówna, wówczas nastolatka, zadała tacie pytanie: „Wujku, czy to prawda, że w Paryżu nie jest wstyd całować się na ulicy?”. A tata z poważną miną odpowiedział: „Wstyd się nie całować!” Milusi bardzo się ta odpowiedź podobała. Ach, no i jeszcze jedno: prezenty z Paryża. Nie pamiętam, czy było coś więcej i co dostała mama, ale dla mnie szczytem techniki był długopis BIC, bo wtedy jeszcze używaliśmy stalówek i atramentu, a pisanie wiecznym piórem było już osiągnięciem z wyższej półki.

Stacja PAN jest bardzo ładna. Osobna część profesorska, osobna studencka. WiFi działało bezbłędnie. Zwiedziliśmy bibliotekę PAN-u, no i kuchnię. Tam rzucił mi się w oko napis: „Półka foodsharingowa” – biada ci, polski języku!

Na Lauriston dojechały do nas z Warszawy na kilka dni dwie koleżanki ze studiów. Razem skomunikowaliśmy się z inną koleżanką miesz-

Małgosia i Michel Kefeli przed polską księgarnią przy bulwarze Saint Germaine.



Fot. archiwum autora

kającą obecnie na stałe w Paryżu. No i był pan Robert, bibliotekarz. Urządziliśmy zatem prawdziwy zjazd bibliotekarzy! Spotkaliśmy się wszyscy w ogrodzie w Petit Palais, potem razem poszliśmy na obiad i biesiadowaliśmy do późnych godzin nocnych. Nasze koleżanki wykupiły w Informacji Miejskiej kartę turystyczną na cztery dni, uprawniającą między innymi do wycieczki statkiem po Sekwanie, rzekomo u dowolnego przewoźnika. My mieliśmy bilety tygodniowe, bez wycieczek, ale za to nieograniczone przejazdy metrem łącznie z podmiejską kolejką RER. Wybraliśmy się więc razem na tę wycieczkę statkiem, która też była w naszych planach zwiedzania miasta. Kupiliśmy z Małgosią bilety na statek Bateaux Mouches, ale przy wejściu na pokład okazało się, że bilety, które mają nasze koleżanki, mimo zapewnień w informacji o ich ważności na wszystkie statki, nie są akceptowane w tej firmie. Koleżanki (i nas) odesłano do Bateaux Parisiens po drugiej stronie rzeki i w innej części miasta. Pani, która sprzedała nam bilety ledwie dwie minuty wcześniej, nie chciała przyjąć zwrotu, żądając od nas rachunku, którego nie otrzymaliśmy. Po 10-minutowych negocjacjach udało się nam jednak zwrócić bilety i po godzinie wchodziliśmy na pokład jednego ze statków floty Bateaux Parisien. Wycieczka była bardzo interesująca, dużo informacji historycznych i w wielu językach, w tym polskim.

Naleśniki na Montmartrze, Kipczacy w UNESCO

Cały następny dzień spędziliśmy w artystycznej dzielnicy Montmartre, którą dobrze pamiętaliśmy z Małgosią sprzed 40 lat (któż z naszego pokolenia nie pomni, że najlepsze kasztany są na Placu Pigalle!). Nie tylko imponująca liczba galerii i artystów, ale także małych restauracyjek, wśród których prym wiodą naleśnikarnie. Przy wejściu do jednej z nich moje oko przykuł następujący napis: „Chudych ludzi łatwo porwać, więc dla własnego bezpieczeństwa jedz dużo naleśników”. Wziąłem sobie tę przestrożę do serca i jedliśmy naleśniki prawie codziennie. Nie wiem, czy przytyłem, ale przynajmniej czułem się „bezpieczniej”.

Po czterech dniach nasze koleżanki bibliotekarki wróciły do Polski, pan Robert pojechał na urlop do Warszawy, a my zaczęliśmy nowy etap pobytu w Paryżu. Nazajutrz po ich wyjeździe spotkaliśmy się z Anią Abkowicz i Maszą Szpakowską. Przywitanie było bardzo serdeczne,

Fot. A. Abkowicz



choć Maszy wcześniej nie znaleźliśmy, a z Anią widziałem się tylko w przelocie w Trokach wiele lat temu, no i jesteśmy przyjaciółmi na Facebooku. Jako wieloletnie mieszkanki Paryża służyły nam za wspaniałe przewodniczki i stanowiły kopalnię informacji, co, gdzie, kiedy i za ile.

Pierwszą wycieczkę odbyliśmy, na życzenie Małgosi, do meczetu Grand Mosquée de Paris. Zwiedzanie zajęło nam parę godzin, w tym był i lekki posiłek, na który złożyła się przepyszna herbata miętowa i mnóstwo różnorodnych ciast, których nazw nie sposób było zapamiętać. No i zdjęć bez liku. Miejsce było pełne ludzi, zarówno turystów jak i „tutejszych”. Stamtąd udaliśmy się do Muzeum Historii Naturalnej, a raczej jego ogrodów, bo muzeum było już zamknięte. Na „wolności” oglądaliśmy tylko kozice górskie i walabie, niewielkie torbacze.

Od Ani dowiedzieliśmy się, że w Paryżu odbywa się właśnie konferencja UNESCO na temat wymierających języków turkijskich, poświęcona m.in. językowi karaïmskiemu. W konferencji brali udział znany mi ze słyszenia prof. Henryk Jankowski, prof. Eva Csato (którą spotkałem raz w Trokach) i Diana Ławrynowicz z Trok. Poprosiłem Anię Abkowicz o kontakty i już następnego dnia spotkaliśmy się z Karaïmami, Michelem Kefeli i bratem Diany, Żorżkiem. Razem powłóczyliśmy się po mieście,

Wycieczkę do meczetu Grand Mosquée de Paris odbyliśmy w towarzystwie Ani Abkowicz i Maszy Szpakowskiej.



Fot. archiwum autora

Z orientalistami, Henrykiem Jankowskim i Evą Csato wspominaliśmy mojego ojca, Aleksandra Dubińskiego, turkologa.

poszliśmy do Apple Store'a i kawiarni. Naza-jutrz spotkaliśmy się z profesorami Jankowskim i Evą Csato, którzy dobrze znali mego tatę. Na kawie, poczęstunku i miłych pogaduszkach w hotelu Ibis opodal siedziby UNESCO spędziliśmy też czas z uczestnikami konferencji z Kazachstanu. Prof. Eva Csato wygłaszała referat na temat roli uniwersytetów w przekazywaniu dziedzictwa narodowego lu-



Fot. archiwum autora

Maria i Małgorzata. W muzeum poświęconym polskiej noblistce spędziliśmy kilka godzin.

dów turkijskich. Zaś prof. Jankowski mówił o perspektywach przetrwania języków turkijskich wśród ludów średniej liczebności. Diana Ławrynowicz wygłaszała referat po karaimsku na temat wkładu jej ojca, Marka Ławrynowicza w zachowanie dialektu trockiego języka karaimskiego.

Prof. Jankowski podzielił się z nami wspomnieniami ze spotkań z moim tatą. Było to bardzo miłe, wzruszające, choć dość krótkie spotkanie. Jego uczestnicy odczuwali zmęczenie całodzienną konferencją, a już następnego dnia rozjeżdżali się do domów. Jestem bardzo wdzięczny Ani Abkowicz za umożliwienie nam tego spotkania. Bez jej udziału nie byłoby to możliwe. Miło porozmawiało mi się z Evą Csato, o której kiedyś mój tata powiedział, że ona „robi dla naszych wnuków to, czego nie udało się nam zrobić dla naszych dzieci”.

Kołoduny w La Défence

Kolejny dzień stał pod znakiem „wyprawy” za miasto – do mieszkania Ani w Garches pod Paryżem. Umówiliśmy się w La Défence, którą to dzielnicę właśnie budowano, gdy byliśmy tam 42 lata wcześniej. Dzień był świąteczny, 1 maja, sklepy pozamykane, więc część zakupową wycieczki mieliśmy z głowy. We troje pojechaliśmy do wspaniałego mieszkania Ani z widokiem na Paryż, wieżę Eiffla itp. Zwróciłem uwagę gospodyni, że czegoś w jej domu brakuje. Z niepokojem zapytała, o co mi chodzi. – Brak teleskopu do oglądania miasta i, przede wszystkim, gwiazd – oświadczyłem. Ania z uśmiechem odparła, że ten mankament może być wkrótce naprawiony.

Na obiad dziewczyny postanowiły zrobić kołoduny. W pierwotnej wersji miały być kybny, ale ja nie chciałem czekać – w brzuchu już burczało. Małgosia zamiesiła ciasto, Ania przygotowała baraninę, ja lepiłem z pomocą pań. W ciągu godziny zrobiliśmy ok. 200 kołodunów, i zjedliśmy prawie wszystkie za jednym posiedzeniem. Potem poszliśmy na spacer, podziwiając piękne domy w tej podparyskiej dzielnicy. Wieczornym metrem wróciliśmy do domu. Kolejny wspaniały dzień.

Skłodowska i ziemniaczane placki w Le Marais

Następny dzień poświęcony był naszym zainteresowaniom. Zaczęliśmy od klubu brydżowego. Akurat odbywały się tam lekcje brydża i analizy rozdań, nie zabawiliśmy więc zbyt długo. Potem Małgosi obowiązkowa wizyta w Muzeum Marii Curie-Skłodowskiej. Tam spęd-

dzieliśmy kilka godzin, oglądając pamiątki po uczoney, łącznie z jej biurkiem, fotelem i mnóstwem próbek oraz przedziwnych urządzeń chemicznych, których używała do swych badań. Wpisaliśmy się do księgi pamiątkowej. Następny był sklep z japońskimi papierkami do origami – kolejnym hobby Małgosi. Sklep średniej wielkości, zeszło nam tam około godziny.

Czas na zwiedzanie związane z moim hobby: wycieczka do obserwatorium astronomicznego. Niestety, bez wcześniejszego umówienia spotkania nie można było zwiedzać „oficjalnie”, więc trochę ukradkiem weszliśmy do potężnego XVII-wiecznego budynku i Małgosia zrobiła mi zdjęcia przy olbrzymich XIX-wiecznych teleskopach. Tymczasem brzuchy znów były puste, zwłaszcza mój, postanowiliśmy więc pojechać do Le Marais, dzielnicy żydowskiej, i zasiąść w żydowskiej restauracji Pitzman, w której wcześniej kupowaliśmy prele z makiem. Tym razem zatrzymaliśmy się na pełny obiad, na który złożyły się placki ziemniaczane podawane z cytryną (przyznam, pierwszy raz jadłem w takiej konfiguracji – i gorąco polecam, pycha!) oraz pizza. Małgosia wygooglowała jeszcze jakąś znaną japońską restaurację, ale była już zamknięta, serwowali tam tylko lunch. Przy okazji szukania dalekowschodniego lokalu trafiliśmy na ulicę Pont-au-Choux, gdzie 42 lata wcześniej Zuzanna Varelle załatwiła nam u swojej koleżanki lokum na lato. Niestety, nie mogliśmy już rozpoznać domu, w którym wtedy mieszkaliśmy. Pamiętam, że obchodziliśmy tam Święto Bastylii 14 lipca, spotkaliśmy się ze Stasiem Szpakowskim i włączyliśmy się po Paryżu prawie do rana. Tym razem zrobiliśmy sobie tylko pamiątkowe zdjęcia z nazwą ulicy. Wówczas nie mieliśmy nawet aparatów.

Teleskopy i origami

Następny dzień to zwiedzanie kolejnych miejsc bliskich naszym zainteresowaniom. Pojechaliśmy do sklepu astronomicznego i choć teleskopu nie kupiliśmy, to spędziliśmy tam godzinę, podziwiając cuda techniki astro, a także książki i bajerki astronomiczne. Naprzeciwko było duże centrum handlowe BHV z m.in. papeterią, więc Małgosia była znowu w swoim żywiole – oglądała książki i papier do origami. To samo powtórzyło się w sklepach Galleries Lafayette, ale tam dostrzegłem okazały taras z widokiem na cały Paryż, gdy więc Małgosia oglądała i kupowała kolejne papierki, ja uciałem sobie drzemkę na tarasie.

To był też dzień, w którym Ania zorganizowała nam spotkanie z Michele Kefeli pod fontanną

Fot. archiwum autora



St. Michel. Na wszelki wypadek zjawiliśmy się tam dużo wcześniej, Michel dotarł po pracy punktualnie o umówionej godzinie. Małgosia zapytała go o jego zainteresowania. Okazało się, że Michel lubi tańczyć tango i chodzi na potańcówki nad brzegiem Sekwany. To zainteresowanie też nam bliskie, dlatego poprosiliśmy Michela, by pokazał nam miejsce, gdzie się tańczy. Po drodze zahaczyliśmy jeszcze o nowoczesny budynek Instytutu Świata Arabskiego (IMA), ale stało się jasne, że potrzeba by całego dnia na zwiedzenie tego gmazyska.

Tango z Michele Kefeli

Poszliśmy wzdłuż Sekwany i zobaczyliśmy grupki ludzi tańczących w takt różnych rodzajów muzyki. My oczywiście zatrzymaliśmy się przy tych tańczących tango. Trochę popatrzyliśmy, po czym Małgosia poprosiła Michela, by nam pokazał, jak tańczy. Nie trzeba go było namawiać. Michel znał tam parę tancerek, poprosił więc jedną z nich i przez pół godzinki oglądaliśmy jego taneczne poczynania.

Potem przyszedł czas na kolację. Kosztowaliśmy już kuchni żydowskiej, greckiej, arabskiej, karaibskiej. Tym razem poprosiliśmy o turecką i Michel bez wahania zaprowadził nas do znanej mu tureckiej restauracji. Jedzenie było pyszne i tanie. Do domu wróciliśmy tego dnia po jedenastej wieczorem, jak zwykle wykończeni, ale zadowoleni.

Dwa dni do wyjazdu. Co by tu jeszcze zaliczyć? Przypomnieliśmy sobie, iż mimo że

Pobyt w Paryżu przyniósł także nowe doznania kulinarne – smak placków ziemniaczanych z cytryną w żydowskiej restauracji w dzielnicy Le Marais okazał się znakomity.



Fot. archiwum autora

Na Polach Elizejskich najbardziej zaimponowała mi torebka damska, a właściwie jej cena: jedyne 4200 euro.

mieszkamy tuż obok, ani razu jeszcze nie byliśmy na Polach Elizejskich. No więc zaraz po śniadaniu w drogę na Pola. Sprzed 40 lat pamiętałem, że Zuzanna zaprosiła mnie na wspólnie lody do restauracji Renault, gdzie siedziało się... we wnętrzach samochodów. Znaleźliśmy ten lokal. Inny wystrój, oczywiście, a przy wejściu naturalnej wielkości bolid Renault Formuły 1 zbudowany całkowicie z klocków Lego. Imponujące. A propos rzeczy imponujących: tuż obok sklep Louis Vuitton. Wchodzimy. Szczęka opada. Co jest powyżej najwyższej półki? Torebka damska za ponad 4 tysiące euro. Małgosia bawiła się jo-jo dla dzieci za, bagatela, 300 euro.

Bibliotekarze w Paryżu

Musimy odreagować, jedziemy więc do centrum (gdzie w Paryżu jest centrum?) zobaczyć biblioteki publiczne. Masza Szpakowska dała nam parę dni wcześniej ich listę, w jednej z nich pracuje jej mama. Pojechaliliśmy do tej mieszczącej się w Les Halles. Ultranowoczesna, nie nazywa się już nawet biblioteka, lecz mediateka. Pięknie zaprojektowane wnętrza, hamaki, pufy, fotele, leżanki dla czytelników. Ładne białe półki. Małgosia poprosiła jednego z pracowników, by nas oprowadził i opowiedział co nieco o tym miejscu. Dowiedzieliśmy się, że istnieją dwie niezależne sieci bibliotek publicznych z dwoma różnymi rodzajami systemów katalogowych. Tu, gdzie byliśmy, mają swój własny system katalogowy i należą do sieci 56 oddziałów bibliotecznych. Druga sieć ma 26 oddziałów i książki są zorganizowane według klasyfikacji dziesiętnej Deweya, podobnie jak w większości

polskich i kanadyjskich bibliotek publicznych. By tu pracować, nie trzeba mieć wykształcenia bibliotecznego, wystarczy zdać specjalny test dla pracowników miejskich. Ta, w której się znaleźliśmy, jest najnowocześniejsza, oddana do użytku dwa lata temu.

Stamtąd pojechaliliśmy do innej, mieszczącej się w słynnym Centrum Pompidou. 42 lata temu jeszcze go nie było. By wejść do środka, trzeba przejść przez security jak na lotnisku. Podobnie zresztą jest przy wejściach do centrów handlowych, metra itp. Sprawdzanie toreb, kieszeni. Nowa normalność. Biblioteka przepiękna. Małgosia znowu podchodzi do bibliotekarzy i za chwilę dowiadujemy się, że mają 365 tys. książek i 200 osób obsługi. Szok. W bibliotece, w której pracuję w Kanadzie, jest 850 tys. książek i 25 bibliotekarzy. Ja sprawdziłem zawartość księgozbioru astronomicznego, Małgosia – jakże by inaczej – origami. Dzień zakończyliśmy po raz kolejny w dzielnicy żydowskiej Le Marais, tym razem na kolacji w restauracji prowadzonej przez Greków.

Dzień następny był naszym ostatnim pełnym dniem w Paryżu. Pomny przykazań dzieci, poszedłem się odprawić on-line na komputerze w bibliotece PAN-u. Do odlotu były 24 godziny i 20 minut, lecz komputer (czy raczej Air Canada) przetrzymał mnie co do minuty i dokładnie na 23 godziny i 59 minut przed odlotem pozwolono mi zrobić odprawę. Chciałem wy-



Fot. archiwum autora

W ultranowoczesnej mediatece pracuje aż 200 bibliotekarzy – czyżby sprzątnięciem zajmowała się ta dziwna rzeźba?

drukować nasze karty pokładowe, ale w drukarce nie było papieru. Nagabnięty student grzecznie mnie poinformował, że papier do drukarki dokłada bibliotekarz, pan Robert, który jest właśnie na wakacjach w Polsce. Hm... Na szczęście młody doktorant był na tyle miły, że przyniósł mi dwie kartki papieru do wydrukowania naszych kart pokładowych.

Fot. archiwum autora

Niezwykłe losy Stambolich i ich potomków

Przyszła chwila na ostatnie spotkanie przed wyjazdem: dzięki uprzejmości Ani dostaliśmy namiary na Georgesę Matcheret-Stamboli, o którym wiele słyszałem jeszcze od taty, a z którym dotąd nie miałem okazji się spotkać. Mój brat koresponduje z nim od wielu lat. Ironia losu sprawiła, że gdy Georges wraz z Zuzanną gościł u nas w Warszawie w 1976 roku, my z bratem akurat byliśmy w Paryżu. Na umówione spotkanie w jego domu o 3 po południu pojechaliśmy na wszelki wypadek godzinę wcześniej, żeby się nie spóźnić i nie zabłądzić w nieznanej dzielnicy. Znaleźliśmy dom bez problemu. Mając nadmiar czasu, zaczęliśmy zwiedzać nowy dla nas teren i... prawie zabłądziliśmy. Ostatecznie jednak dotarliśmy na czas.

W progu serdecznie przywitał nas Georges i jego żona, Nadieżda Wołkońska. Najpierw sprawy formalne: w jakim języku będziemy się porozumiewać? Moją znajomość francuskiego i rosyjskiego należy już raczej zaliczyć do przeszłości, na szczęście angielski Georges jest na tyle dobry, że udało nam się jakoś dogadać. On próbował swój angielski, ja przypominałem sobie rosyjski i francuski. Gdy pojawiały się problemy, gładko przechodził na rosyjski. Z jego żoną porozumiewaliśmy się po rosyjsku. Georges pokazał nam swoje mieszkanie podzielone na część europejską i część azjatycką. Ta ostatnia stała, że jego syn mieszka i pracuje obecnie w Hong Kongu, a przedtem przez lata mieszkał i pracował w Kambodży. Tam też, o ile dobrze pamiętam, urodził się wnuk Georges.

Do zobaczenia w przyszłym roku w Teodozji

Gospodarz pokazał nam książkę, nad którą pracował kilka lat i którą właśnie wydał, dotyczącą jego rodziny. Kopalnia wiadomości. Z jej stron i z jego własnych opowieści dowiedzieliśmy się, że przez 20 lat pracował w Moskwie, przy francusko-rosyjskim programie kosmicznym. Zdjęcia z Gromyko podpisującym umowę, zdjęcia z Sarkozym, z Tierieszkową, z francuskimi astronautami. Fotografie i opisy willi



Stamboli w Teodozji. Dziadek Georges, Moisej Stamboli, jeden z trzech braci ze sławnej rodziny dorewolucyjnych karaimskich magnatów tytoniowych, był przyjmowany przez cara Rosji w jałtańskim pałacu Levadia. W tym samym miejscu Georges był podejmowany w zeszłym roku przez tamtejszych oficjeli. Książka ma ponad 100 stron i wspólnie przejrzelśmy ją strona po stronie od początku do końca. Zdjęcia z kienes w Eupatorii, z Czufut Kale, ze spotkań z Karaimami z Krymu.

Wspaniałe spotkanie, wspaniałe opowieści. Nadszedł jednak czas pożegnania. Otrzymaliśmy od państwa Matcheret delikatesowe pyszności, sami rewanżując się, niestety, tylko skromną bombonierką. Choć jeszcze dwie godziny wcześniej nie znaliśmy się zupełnie, teraz żegnaliśmy się jak dobrzy znajomi, krewni poniekąd. Georges zasugerował, żebyśmy się następnym razem spotkali w Teodozji. Przytaknąłem, wiedząc, że to mało prawdopodobne. Ale kto wie... Przecież życzenie wyrażone w toaście „Sliedujuszczij god w Peterburgie” też kiedyś wydawało się nie do spełnienia.

Reszta pobytu w Paryżu upłynęła rutynowo, choć trochę nerwowo z powodu trwającego akurat strajku linii Air France i pracowników metra. Pakowanie, sprzątanie pokoju, pobudka o szóstej rano, żeby zdążyć na samolot do domu.

To była niezapomniana wycieczka!

Romek Dubiński

Z Georgesem Matcherem-Stambolim i jego żoną spędziliśmy uroczę popołudnie. To było nasze pierwsze spotkanie, a żegnaliśmy się serdecznie jak starzy znajomi.